



Kryminał z myszką

71

Wrak

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

WRAK

Kryminał z myszką – Tom 71

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-80-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydania: Czytelnik, Warszawa 1973, seria „Z jamnikiem”

Rozdział 1

Hipy obsiadły skwer przy pomniku Mickiewicza, to było ich ulubione miejsce oprócz letniej herbaciarni w parku Łazienkowskim, na górze. Siedzieli rzędkiem na ławkach, wszystko długowłose, przeważnie brodate, cicho o czymś rozmawiali. Dziewczyny były tylko dwie – Słowianka i Ta Pierwsza, o której mówiono, że dawniej chodziła z Prorokiem, teraz ją jakoś zaniedbał.

Sierpniowy wieczór nie przyniósł ochłodzenia, po zachodzie słońce grzało tak, jakby stało na środku nieba. Hipy porozpinały brudne koszule; ślady po żyłkach i paznokciach odznaczały się ostro na skórze. Ta Pierwsza nosiła znak na czole, mówiła, że to od Proroka. Że ciął ten znak powolutku, może kwadrans albo dłużej, ale nic nie czuła po zastrzyku locyny.

– Masz? – zainteresował się Andrzej, spojrzał na nią wyczekująco.

Potrząsnęła głową. O locynę było najtrudniej, a Prorok chodzi teraz z Malutką i dla niej się stara.

– Nic nie masz?... Naprawdę nic?

Wzruszyła ramionami, odrzuciła w tył długie ciemne włosy, ciężkie od kurzu i tłuste.

– W domu było gdzieś trochę Berksu – mruknęła niepewnie. Nie wiedziała, czy opłaci się inwestować w Andrzeja, miał rodzinę, a ta rodzina miała pieniądze. – Ale chyba już zużyłam – dodała spieszenie. – Twój stary może dać forszę – spróbowała.

Czarnobrody hip dosłyszał, wstał z końca ławki, przykucnął obok nich. Był bosy. Poprzedniej nocy goniła go banda chuliganów, uciekł, ale zgubił sandały. Pięty miał czarne od brudu i popękane.

– Masz w domu Berks? – spytał szeptem.

– Może – uśmiechnęła się tajemniczo. Lubiała zwracać na siebie uwagę. – Chcesz przyjść?

– Ona łże – powiedziała Słowianka zazdrośnie. – Dwa dni temu wzięliśmy wszystkie prochy, nic nie zostało. Ani odrobiny.

– Suszy mnie – powiedział Andrzej. Z trudem przełykał ślinę.

– Brałeś coś? – Czarnobrody patrzył na niego uważnie. Miał takie spojrzenie, jakby ciągle badał człowieka i nie wiedział, co w końcu o nim myśleć. Andrzej nie lubił tego hipa.

– Wczoraj – odparł niechętnie.

– Co?

– Tao – skrócił słowo, nie chciało mu się mówić.

– Taotil?

– Aha.

– Po tym trudno spać.

– Nie spałem.

– Skąd to wzięłeś?

– Mniejsza.

– To nic nie daje – upierał się czarnobrody. – Nie warto brać. Na co ci to było?

– Tak sobie. Na próbę. Cholera, co ja bym dał za locynę! – wykrzyknął i umilkł zaraz, trącony ostrzegawczo przez Tę Pierwszą. Po Krakowskim snuły się tłumy, okrzyk ze skweru mógł zaintrygować i przyciągnąć kogoś niepotrzebnego.

– Jemioła idzie! – powiedział któryś z ożywieniem.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę, skąd nadchodził nieduży, trochę przygarbiony mężczyzna w sznurowanej, żółtej koszuli i z podłużnym medalem na sznurku, medal miał coś tam symbolizować. Ważne było, że Jemioła zawsze miał prochy.

Podszedł do nich, jak zwykle pewny siebie, ironiczny i zadowolony.

– Bydlaki – rzekł z rozrzewnieniem, patrząc na ich wyczekujące twarze. – Co byśta beze mnie zrobiły!

Jemioła stylizował się na chłopca, podobno jego przodkowie pochodzili ze wsi, ale to musiało być ogromnie dawno. Stał nad nimi, podparty pod boki, włosy w strąkach opadały mu na opalone czoło. Otarł pot wierzchem dłoni, uśmiechnął się do Słowianki, podobała mu się od paru dni.

– Masz? – wyręczył tamtych Andrzej. Grdyka chodziła mu jak śliwka, znowu nie mógł przełknąć śliny.

– Mam – odparł Jemioła z triumfem. – Chodźta do mnie. Starczy na noc. Dla wszystkich.

Podał rękę Słowiance, ściągnął ją z ławki, otoczył ramieniem i poprowadził, jak w pierwszą parę w tańcu, reszta szła za nim. Andrzej włókł się na końcu, było mu trochę niedobrze. Bał się przyznać, że nigdy jeszcze nie zażywał locyny i nie wiedział, jak na nią zareaguje. Był już świadkiem – przerażonym, milczącym świadkiem – paru różnych reakcji organizmu na nowy środek psychotropowy i wiedział, że jakakolwiek pomoc czy współczucie było w tym gronie niemożliwe. Wywlekało się po prostu gościa gdzieś w krzaki, aby „doszedł” – obojętnie, do czego. Najmłodszą jasnowłosą Hanię w porę znaleźli przechodnie, w szpitalu wiele się nabiedzili, aby ją odratować. Hania nie zdradziła nikogo z hipów, może zresztą dlatego, że знаła tylko ich imiona lub pseudonimy, a żadnego adresu.

O locynie mówili mu, że wizje są czasami kolorowe. Gdzieś wyczytał, że nowemu władcy Inków czy Azteków dawano w tamtych czasach wyciąg z meksykańskich grzybów, zawierający locynę, i zamykano go w izolowanym pomieszczeniu. Władca miał fantastyczne wizje, z których po ocknięciu się prorokował podwładnym. W książce nie było jednak podane, co się dzieje z człowiekiem, zanim ogarną go wizje, i tego przejściowego okresu bał się, choć jednocześnie bardzo pragnął spróbować.

Jemioła mieszkał daleko, aż w Marysinie Wawerskim. Miał tam pokój z kuchnią, na parterze od podwórza, dom był w ogóle mały, stary i reszta lokatorów nie interesowała się cudzymi sprawami, za takie rzeczy można było tu oberwać pięścią lub nożem. Mieszkanie należało do rodziców Jemioły, ale nie było ich. Tak właśnie mówił: „nie ma ich” i każdy musiał na tym poprzestać, Jemioła nie lubił zbędnych pytań.

Andrzej był tu dwa, może trzy razy. Zazwyczaj w domu było brudno i smrodliwie, toteż zdziwił się zmianom, jakie teraz zastał. Pokój był posprzątany, wywietrzony, na tapczanie leżał nowy koc, krzesła – połamane, kulawe – zastąpiono kilkoma fotelikami.

– Dorobiłeś się? – spytał zdziwiony.

Któryś parsknął śmiechem, spoglądali na siebie znacząco. Jemioła zażenowany przestępował z nogi na nogę, coraz to rzucając okiem na Słowiankę. Zrozumiała, że to dla niej ta cała parada, zachichotała, trochę jej to pochlebiło, chociaż nie ceniła zbytnio Jemioły.

Rozłożyli się po pokoju. Ta Pierwsza ściągnęła koc na podłogę, wyciągnęła się jak długa, zamruczała sennie. Jemioła przesuwał wzrokiem po twarzach i widział z zadowoleniem, że patrzą na niego pół proszaco, pół groźnie. Nie mógł jednak przeciągać struny, było ich sześcioro z dziewczętami, a on jeden. Toteż mimo iż przewaga, jaką miał w tej chwili, dawała mu wiele satysfakcji, rzekł śpiesznie:

– Andrzej dostanie pierwszy. Potem wszyscy.

– Dlaczego ja?! – Przestraszył się, zaraz potem opanował ten strach, tak było trzeba, taki był fason.

– Ty. Bo nie brałeś – Jemioła uśmiechnął się złośliwie.

– Brałem! – krzyknął. – Chyba ze trzy razy albo i więcej.

Patrzyli na niego, Słowianka zmrużyła ładne oczy, ziewnęła. Zaczerwieniony, zrzucił koszulę i nadstawił rękę, tyle wiedział, że locynę dawali sobie w zastrzykach.

– Kto zaszpili? – Jemioła wyjął ze stolika strzykawkę i ampułki.

– Ja mogę – Ta Pierwsza uniosła się z podłogi, podczołgała do Andrzeja. – Lubię kłuć – pokazała zęby w uśmiechu.

Zresztą robiła to dobrze, przyznał głośno, czując szybkie i lekkie uklucie w ramię. Oparł się wygodnie o poduszkę, odetchnął głęboko, przymknął oczy.

Przez pewien czas nic nie nadchodziło, nie ogarniało go ani podniecenie, ani senność, więc pomyślał, że być może Jemioła wystawił go do wiatru i już chciał mu nawymyślać. Rychło jednak zrozumiał – tak, właśnie było to zrozumienie sytuacji, zupełnie wyraźne – że Jemioła był kiedyś, może wczoraj, a może rok temu, tak samo oni wszyscy, tak samo zresztą i on. Czas rozwiął mu się nagle jak smuga dymu i znikł, nie pozostawiając śladu. Czasu po prostu nie było, wszystko mogło istnieć dziś czy sto lat temu albo kiedyś.

– Zabawne – mruknął, próbując to ogarnąć myślą, ale nie było mu potrzebne, czas nie był potrzebny do niczego i dziwił się tylko, że kiedyś było to dla niego ważne.

Poruszył się w fotelu, uniósł rękę i poczuł, że może ją trzymać w powietrzu bez żadnego wysiłku. Chwycił ze stołu dużą szklaną popielniczkę.

– No, no! – ostrzegł Jemioła, cofając się – tylko bez kawałów!

Andrzej roześmiał się. Wcale nie chciał rzucać. Chciał trzymać rękę z tą ciężką popielniczką, wyciągniętą poziomo nad podłogą, nie czuł swoich mięśni, ich wysiłku, ręka nie mdlała i stwierdził to z ogromnym zdumieniem. Równocześnie jednak spocił się na całym ciele, serce biło mocno, nierówno, słyszał to bicie, krew pulsowała w żyłach.

Czarnobrody hip przysunął się do niego, spytał szeptem:

– Widzisz coś?

Andrzej nie odpowiedział. Hip wydał mu się tak okropnie zabawny, że wybuchnął długim, niepohamowanym śmiechem. Zresztą śmieszyło go teraz wszystko, wystarczyło kiwnięcie palcem przez Jemiołę, który obserwował go z wielką uwagą. Zaśmiewał się, chichotał, łzy ciekły mu po policzkach.

– Spróbuj przestać! – zażądał nagle Jemioła.

Spróbował, ale nie udawało się, wcale nie chciał przestać i rozgniewał się, po co mu przeszkadzali, niech sobie idą. Pokój wirował dokoła niego, ściany wędrowały w górę i w dół, były zielone, potem zamieniły się w kolorowe groty i jaskinie, szedł tamtędy, biegł, frunął, nie spadał.

Nie wiedział, że przez ten czas pozostali wstrzyknęli sobie wzajemnie locynę, że przeżywali – podobnie jak on – przerażające wizje, nieprzytomni, mokrzy od potu, z sercem bijącym wściekle, porzruceni po pokoju w najdziwniejszych pozycjach, nie pamiętający o świecie. Tylko Jemioła był trzeźwy. On jeden nie przyjął zastrzyku i śledził przez cały czas reagowanie Andrzeja na trujący lek.

Po kilku godzinach, gdzieś koło północy, uniósł mu głowę i zmusił do wypicia ćwiartki wódki. Alkohol przerwał wizje. Chłopak ocknął się, przetarł oczy. Szumiało mu w uszach, serce wciąż nieprzyjemnie dawało znać o sobie, ciało było mokre i lepkie w dotknięciu.

– Te, szprycer! Idź do domu – powiedział Jemioła. – Żaden z was nie może tu zostać.

– Nigdzie nie pójde – mruknął, próbując z powrotem wyciągnąć się na fotelu.

Ale tamten szarpnął go za nagie ramię, popchnął kolanem. Rzucił mu mokry ręcznik do otarcia, podał koszulę. Potem wyprowadził na dwór. Szli pustą, ciemną uliczką, nocny autobus był dość daleko stąd. Jemioła prowadził Andrzeja, mocno ściskając go za rękę, jakby się bał, że tamten wyrwie mu się i zawróci. Zaprowadził go na przystanek, wcisnął bilet w niezdarne palce, a kiedy autobus nadjechał, wepchnął go do środka i znikł w ciemności.

Andrzej przysiadł z westchnieniem. W wozie było prawie pusto. Próbował zebrać myśli, ale nie pamiętał w tej chwili nic, zapomniał swego nazwiska, adresu, zapomniał, gdzie był i co robił. Kiwał się na zakrętach, głowa opadła mu na piersi, skądś wiało, próbował więc zapiąć koszulę, ale palce rozłaziły się i gmerały nieporadnie dokoła guzików.

Kiedy zobaczył przez okna dużo świateł i autobus zatrzymał się na przystanku, wygramolił się, bo zdawało mu się, że powinien być tak zrobić, chociaż nie śpieszył się nigdzie. Był przy rotundzie PKO w Alejach Jerozolimskich, ale nie rozpoznał ulicy. Przeszedł kilka kroków i zwałił się na chodnik.

W kwadrans później szara „Warszawa” zatrzymała się w pobliżu. Wskoczyło z niej dwóch pracowników służby wywiadowczej z komendy w śródmieściu.

– Pijaczek – stwierdził szczupły, ciemnowłosy, w zielonej wiatrówce. – Spytaj, czy nie ma „Nysy” w pobliżu.

Drugi wywiadowca, krępy i przysadzisty, ubrany w jasną marynarkę i trochę ciemniejsze spodnie, podszedł do samochodu. Siedział tam kierowca, z radiostacji dobiegał zniecierpliwiony głos oficera na stanowisku dowodzenia.

– Co jest? – spytał kierowca.

– „Nysę” trzeba ściągnąć – ziewnął przysadzisty. Obszedł wóz dokoła, wsunął się na przednie siedzenie, uruchomił nadajnik i powiedział:

– Dwadzieścia trzy, tu osiem-trzynaście.

– Słucham cię, osiem-trzynaście.

– Mam pijaczka na Jerozolimskich, przy rotundzie.

– Wszystkie „Nysy” zajęte, nie ma żadnej w twoim rejonie. Zabierz go do KD.

– Dobra, dwadzieścia trzy.

– A jak mi zaświni wóz? – zaprotestował kierowca.

– Cóż ja ci poradzę... – westchnął.

Wygramolił się z radiowozu, zataszczyli Andrzeja na tylne siedzenie, leciał im przez ręce, nieprzytomny, blady. Ułożyli go jakoś i pojechali na Wilczą. Do komendy wniesli go na kocu, bojąc się, że im po drodze zrobi brzydki kawał.

– Co to jest? – skrzywił się oficer dyżurny i wycelował palcem w długi tobołek.

– Kleopatra! – zaśmiał się ciemnowłosy, wyturlając chłopaka na podłogę poczekalni.

– Co za Kleopatra? – oficer nie był na filmie, zresztą o drugiej nad ranem tracił poczucie humoru. – Po coście go tu przywieźli, jak pragnę skonać! To już nie ma Izby Wytrzeźwień?

– Nie było „Nysy”. Kazali do komendy.

Nagle Andrzej zbudził się i usiadł. Błędnymi oczami spoglądał na stojących dokoła milicjantów, próbował zrozumieć, co się stało. Czuł potworny ból głowy, dokuczało serce.

– Gdzieś się tak schlał? – mruknął dyżurny.

Chłopak poruszył ustami, chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Ciemnowłosy wywiadowca pochylił się nad nim.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– An...drzej...

– Świetnie, Andrzej. A dalej?

– Cze...nnn – wybąkał, całym wysiłkiem woli skupiając myśli.

– Jak? Powtórz!

– Co się będziecie z nim cackać. Przyjedzie „Nysa”, zabierze go na Kolską. Spisz notatkę, i tyle.

– Poczekaj – wywiadowca wciąż przypatrywał się chłopakowi, który wstał z jękiem, zatoczył się i usiadł na podsunętym krzeselku. – Coś mi się tu nie podoba. Więc jak się nazywasz?

– Andrzej... Czertwan.

– Masz dowód osobisty?

Pokręcił głową przecząco. Kieszenie spodni były puste, koszula w ogóle ich nie miała.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście skończyłem... w czerwcu.

– Gdzie mieszkasz?

– Na... Bielanach. Ogólna... dwadzieścia trzy.

– Z rodzicami?

– Czekaj! – wtrącił się nagle oficer dyżurny. – Jak on powiedział: Czertwan? Kim jest twój ojciec? – zwrócił się do chłopca.

– Tam... w jednej fabryce.

– Słuchaj – oficer kiwnął głową na wywiadowcę, odszedł z nim na bok. – Jego stary to może być ten dyrektor z „Poksydu”. Wiesz, tworzywa sztuczne. Na Służewcu. Spytaj, jak ojciec ma na imię, a ja zaraz sprawdzę – wyszedł z poczekalni.

– Co ojciec robi w tej fabryce? – Ciemnowłosy zwrócił się do chłopca.

– Główny inżynier.

– Jak mu na imię?

– Zbigniew.

– Pracuje w „Poksydzie”?

– Tak. Odp... się! – krzyknął nagle, rozgniewany.

– Wolnego, bracie. Nie tak ostro. Więc gdzie ojciec pracuje?

– W „Poksydzie”. – Głowa zwisała mu na piersi, usnął na chwilę.

– Gdzie piłeś? – Ciemnowłosy badał nieustępliwie.

– Nie piłem.

– I czego zalewasz pałę. Jedzie od ciebie wódka... – urwał, przyglądał się w zadumie ramieniu chłopca, przesunął palcami po opalanej skórze. – A to, gdzieś sobie zafundował?

Andrzej spojrzał na rękę, zobaczył świeży ślad po zastrzyku. Raptem przypomniał sobie wszystko. Zerwał się z krzesła, chciał uciec, ale wywiadowca przytrzymał go za ramię i zmusił do zajęcia miejsca. Wrócił oficer dyżurny.

– No, jak? – spytał.

– Zgadza się – odparł wywiadowca. – To syn tamtego. Młody Czertwan.

– Ale się ojciec ucieszy! I nie wstyd ci?

– Że piłem? – Chłopak spojrzał na niego ponuro. – A pan to nigdy nie wypije? A wy wszyscy?

– Ależ owszem! – roześmiał się ciemnowłosy. – Tylko że się nie zalewam do nieprzytomności. I nie znajdują mnie na chodniku, o drugiej nad ranem, urzęniętego jak bela. A w dodatku po zastrzyku... przyznaj się, co brałeś? Morfinę?

– Ładna historia – mruknął oficer i wyszedł, bo z dyżurki dobiegł terkot telefonu.

– Nic nie brałem. Zwykły zastrzyk, w przychodni. Na... ten, na wzmocnienie.

Wywiadowca pokiwał głową z wyrzutem. Porucznik Kotowicz z wydziału dochodzeniowego, obserwujący tę scenę od paru minut, zbliżył się do Andrzeja. Miał w notesie i w pamięci wielu hippiesów warszawskich, znał ich twarze, adresy, kontakty, wiedział, kto aktualnie z kim śpi, a kto z kim zerwał. Dawало mu to pewną przewagę w ich środowisku, nie mogli go zaskoczyć błazeństwami i fantazjowaniem na swoje tematy, co bardzo lubili.

Czertwana jednak nie znał, to go trochę zdziwiło. „Nowy – pomyślał z przykrością. – Jeszcze jeden”.

– Chcesz kawy? – spytał. – Mocnej, gorącej kawy?

– O, tak! Proszę! – Andrzejowi na samą myśl o kawie zmniejszył się jakby piekielny ból głowy. Wstał posłusznie, poszedł z porucznikiem na górę. Kotowicz przyrządził szklankę marago, sypnął cukru z torby.

– Pij – podał mu. – To ci dobrze zrobi.

Potem patrzył, jak chłopak chciwymi, drobnymi łykami pije wrzący płyn, parząc wargi z pośpiechu.

– Oczywiście, rodzice o tym wszystkim nie wiedzą – powiedział oficer jakby do siebie.

Czertwan odstawił pustą szklankę na stół, ręce mu trochę drżały. Zgarbił się na krześle, zapatrzył gdzieś w kąt pokoju.

- Matka wie?
- Matka nie żyje. Dawno.
- Z ojcem jesteś w dobrych kontaktach?
- Jak czasem.
- Żle ci w domu?

Wzruszył ramionami, spróbował się uśmiechnąć, wyszło to trochę żałośnie.

- Nie, dlaczego? – zaprotestował. – Dobrze mi.
- Masz rodzeństwo?
- Siostrę. Młodszą, ma dwanaście.
- Kłopoty z nauką?
- Nie. Zdałem do ostatniej licealnej.
- To na przyszły rok matura?
- Tak. Chyba tak – dodał niepewnie.
- Dziewczyna ci dała w kość?
- Nie. Zresztą nie mam dziewczyny.
- Chłopakami się chyba nie interesujesz?

Andrzej poczerwieniał.

- Co pan! – rzucił gniewnie.
- Dobra. Palisz? – podsunął mu papierosy i zapalki. – Jak się czujesz?
- Lepiej. Głowa mnie boli. Pójdę już – chciał wstać, ale oficer powstrzymał go ruchem ręki.

– Poczekaj. Zaraz pójdziesz. Zresztą odwiozę cię. Niech kawa podziała, bo masz jeszcze miękkie nogi.

Palili chwilę w milczeniu, Kotowicz oglądał sobie chłopaka z uwagą, w końcu rzekł:

- Widać były kolorowe, prawda?
- Kolorowe – przyświadczył mimo woli i zaciął wargi.
- Mnie nie ocyganisz. Z kim byłeś? Z Jemiolą?... Słowianka też z wami była? I ten czarny, jak mu tam... No, ten z brodą. Aha, Mefisto... Dobra, nie chcesz mówić, to nie mów. Wąchaliście Tri czy Ixi pod prześcieradłem?

- Nic nie wąchaliśmy – odparł obrażonym tonem. – To dobre dla gówniarzy.
- A wy dorośli, prawda. Powiedz, co było w robocie, Berks? A może locyna?

Andrzej milczał.

– I po coś ty do nich przystała! Chłopak z porządnego domu, niedługo kończysz szkołę, po cholerę zachciało ci się truć. Przyjrzyj im się wszystkim na trzeźwo, w biały dzień. Zobacz, jak wyglądają, jakie mają nieprzytomne oczy, jaką skórę, porżniętą żyłkami. Słuchaj, Andrzej – położył mu rękę na ramieniu, patrzył w oczy – myśmy nie tak dawno brali osiemdziesięciu na badania lekarskie. Wiesz, ilu wśród nich było chorych? Oczywiście nie wiesz. Siedemdziesięcioro i dwoje. Kiła albo płuca zajęte, albo jedno i drugie. Uszkodzenia wątroby, nerek, wrzody w żołądku. Wraki, nie ludzie. A najstarszy nie miał trzydziestki. Do czego chcesz doprowadzić swój organizm? Drugiego nie kupisz, w sklepach nie sprzedają.

Czertwan wciąż milczał, uciekał wzrokiem w dół, to na boki. Kotowicz wstał, westchnął ciężko.

– Dobra, pojedziemy. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Nie mam żadnego interesu, żeby tobą w życiu kierować, ale nie mogę patrzeć, co wy ze sobą robicie.

Andrzej uniósł głowę i wybuchnął:

– Pan myśli, że to łatwo się odzwyczaić? To się panu tylko zdaje! A zresztą, co tam... Nic mi nie będzie.

– Powiedz mi jedno, ale szczerze: jak długo chodzisz z hippiesami?

– Nie pamiętam. Miesiąc, może półtora.
– To masz jeszcze pełną szansę, żeby zerwać. Ty sam. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Nie zatrzymam cię teraz, bo wiem, że mi się wszystkiego wyprzesz i nie zbiorę dowodów. Ale pamiętaj! Jeżeli cię nakryję na melinie u kogoś z nich, będziemy inaczej rozmawiali.

Czertwan rozważał coś w myślach, potem rzekł prosząco:

– Niech pan nie mówi ojcu, dobrze?

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Jeżeli dasz mi teraz słowo, że nie wezmiesz więcej żadnego środka psychotropowego.

Rozumiesz, co to jest, te środki?

– Wiem. Ale... – zawahał się. – Nie potrafię tak od razu.

– Musisz od razu. Nie jesteś jeszcze nałogowcem. No, więc?

– Dobra, niech będzie – mruknął.

Wyszli z komendy, wsiedli do kremowej „Syreny”, pojechali na Bielany. Na dworze było już jasno, zapowiadał się upalny dzień. Kotowicz, prowadząc wóz, myślał o siedzącym z tyłu chłopaku. Nie wierzył w dane słowo, Czertwan rzucił je na odczepne, aby prędzej zakończyć rozmowę.

Zatrzymali się przed domem na Ogólnej. Na osiedlu zaczął się już poranny ruch, szczekały metalowe pojemniki z butelkami, pełnymi mleka, ktoś zapuszczał silnik samochodu. Porucznik odwrócił się do Andrzeja i zobaczył, że ten śpi, rozwalony na siedzeniu, z głową opartą o drzwiczki. Szarpnął go za rękę, rozbudził.

– Idź do domu – powiedział. Był piekielnie zmęczony, miał za sobą prawie dwadzieścia cztery godziny służby.

Czertwan wygramolił się z wozu, przeciągnął, wstrząsnął nim dreszcz nie przespanej nocy i wszystkich jej atrakcji.

– Dobranoc – mruknął. Nie był pewien, czy tamten chce mu podać rękę, więc na wszelki wypadek wsadził swoją w kieszeń i oddalił się śpiesznie.

Kotowicz patrzył za nim przez chwilę, jakby chcąc utrwalić w pamięci sylwetkę chłopca. Potem zawrócił w stronę Śródmieścia.

*

Zbigniew Czertwan zbudził się, właściwie obudził go delikatny szmer klucza w drzwiach wejściowych. Spojrzył na zegarek, była czwarta. – Znowu – szepnął. Zapalił papierosa, narzucił kurtkę od piżamy i wyszedł do przedpokoju. Jego siedemnastoletni syn zamykał właśnie zasuwę na drzwiach. Spostrzegłszy ojca, znieruchomiał, ręce opadły mu bezwładnie.

– Gdzie byłeś? – spytał dyrektor Czertwan. Mówił półgłosem, nie chciał zbudzić córki, śpiącej w małym pokoiku obok wejścia.

– U kolegi – bąknął Andrzej. – Odwiózł mnie teraz.

– Aż do rana u kolegi? Co wyście robili?

– Bawiliśmy się. Zmęczony jestem, chcę spać – wyminął ojca, skierował się do swego pokoju. Na progu zawahał się, odwrócił. – Przecież jeszcze nie ma szkoły – rzekł tonem usprawiedliwienia. – Co ci przeszkadza, że się bawię?

– Ty piłeś – stwierdził ojciec, czując w powietrzu zapach alkoholu. – Cały jesteś przesiąknięty wódką i dymem. Oczy masz czerwone, jesteś blady. To nie pierwszy raz, Andrzej!

– Może odłożymy to śle... tę rozmowę na jutro, dobrze? Dobranoc – trzasnął drzwiami od pokoju, przekręcił klucz z tamtej strony. Rzucił się na tapczan, od razu zasnął.

Czertwan powstał chwilę pod drzwiami, potem wrócił do siebie, zgasił papierosa, wyciągnął się na pościeli, ale już nie mógł usnąć. Przed szóstą wstał, jak zwykle, za dwadzieścia siódma wsiadł do służbowej „Warszawy” i odjechał do fabryki. W drodze postanowił, że dziś jeszcze stanowczo przeprowadzi z synem zasadniczą rozmowę.

*

– Proszę pana, to jest nasz dołek!

Kapitan Szczęsny leżał nieruchomo, wyciągnięty na piasku twarzą w kierunku słońca, usiłując nie kojarzyć tych słów, wypowiedzianych po raz drugi tonem wzburzenia, z własnym, ciepłym dołkiem na plaży. Wmawiał sobie, że to chodzi o kogoś zupełnie innego, chociaż przez szpary w powiekach widział stojące tuż obok bosc nogi w ilości niezliczonej. Musiała to być cała rodzina.

– Coś podobnego! – powiedział kobiecy głos. – Józek, rusz się, zrób coś!

– Nic nie zrobię – odparł męski głos. – Chodź, wykopimy inny.

– Ja będę kopał, tato! Ja! – rozdarło się młodsze pokolenie trojgiem głosów. – Nie, ja! Właśnie, że nie ty. Idź sobie!

Na Szczęsnego poleciała fontanna piachu, coś niedużego przetoczyło się po jego nogach, rozległ się wrzask, duży cień przesłonił mu na chwilę słońce. Wytrzymał wszystko, cierpliwie udawał, że śpi. Głosy oddaliły się, widocznie rodzina zrezygnowała z dołka. Wtedy ułożył się wygodniej, poprawił koc i strzepnął z niego piasek.

Właściwie myśli jego były w tej chwili trochę smutne. Ostatni dzień urlopu nad morzem i przy fantastycznej pogodzie nastrojał smętnie. Na wspomnienie dusznej, zakurzonej Warszawy poczuł, że ogarnia go melancholia. W dodatku dziewczyna, z którą spędził prawie dwa tygodnie, musiała odjechać już wczoraj i pożegnanie wcale nie było wesołe. Dziewczyna nie mieszkała w Warszawie, może więc zobaczą się dopiero za miesiąc czy dwa, a może i za pół roku.

Szczęsny wiedział dobrze – i czuł wskutek tego ogromne wyrzuty sumienia – że po powrocie wspomnienie o szalowej dziewczynie rozplynie się w wirze codziennych zajęć, zblednie, po prostu zatrze się w pamięci. Powtarzał sobie teraz, że byłoby słuszniej, gdyby to ona zerwała pierwsza, od razu, bez skrpułów, z rozsądku – i na myśl o tym zrobiło mu się zupełnie niewesoło, bo w czysto męskim egoizmie wcale tego sobie nie życzył.

Westchnął, wstał z koca, odłożył ciemne okulary i pobiegł do wody. Morze było tak ciepłe, jak tylko może być w Bałtyku, to znaczy nie bardzo. Mało kto siedział w wodzie, chociaż plaża była pełna aż do granic możliwości. Szczęsny pokręcił się trochę blisko brzegu, aby przyzwyczaić rozgrzaną skórę do nowej temperatury, potem wszedł głębiej i popłynął. Umiał to robić dobrze, nawet bardzo dobrze. Jego śniade, mocno opalone ciało przemykało się przez spokojną wodę i oddalało coraz bardziej, aż spłoszeni ratownicy zaczęli gwizdać alarmująco. Rozśmieszyło go to, ale docenił ich dobre chęci i zawrócił. Pływał potem równoległe do brzegu, tam gdzie woda była głęboka, wolna od wszelkich gumowych materacy, nadymanych wielorybów i innych obrzydliwości, z rozwalonym wczasowiczem pośrodku.

Kochał morze miłością skrytą, wieloletnią, nie potrafił o nim mówić ani czytać, nie znosił „morskich” obrazów, wszystkie były okropne, żaden nie oddawał prawdy. Nie znał oceanu, sądził jednak, że jest jeszcze piękniejszy niż morze i kochał go w ciemno, na wyrost. Do gór podchodził z pewną rezerwą, było mu w nich ciasno.

Wyszedł wreszcie na piasek, otrząsnął się z wody, ułożył w dołku do wyschnięcia. Późnym popołudniem zdecydował, że trzeba iść na obiad, i z żalem pożegnał dołek. Jutro wróci tu jego prawowity właściciel albo też zajmie miejsce ktoś nowy, blady, zmęczony, ktoś rozpoczynający dopiero urlop.

Wieczorem szedł przez Ustronie szeroką asfaltową ulicą, zatłoczoną przez wczasowiczów i grupy młodzieży z okolicznych campingów i obozów letnich, cały ten rozgadany, wesoły, opalony tłum, niechętnie ustępujący z drogi przejeżdżającym samochodom. Jechały zresztą bardzo wolno, ledwie poruszały się, bo przechodnie tutaj nie rozróżniali chodnika od jezdni.

Minął „Ustroniankę”, z której rozlegały się donośne zawodzenia orkiestry, za przystankiem Pekaesu zapuścił się w niby szosę, niby ulicę obramowaną po obu stronach gęstym, pięknym lasem. Po godzinie zawrócił nad morze, długo siedział w koszu, patrząc na prawie nieruchome, ciemne, uśpione jak żywa istota – i mówił mu do widzenia.

Na drugi dzień był już w Warszawie.

– Aleś się opalił! – stwierdzali koledzy i zaraz zaczynali o swoich sprawach. Pożałował ich, jak należało, niektórym życzył równie udanego urlopu, po tygodniu morze wracało już tylko w snach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI